

BLIZZARD ENTERTAINMENT

Mikułow: Bratnie dusze

Preludium do *Diablo III: Zakon*

Autor:

Scott Brick

Bólu, witaj w domu moim, długo tutaj nie zagościsz, lecz dopóki pozostaniesz, gościem będziesz honorowym. W domu tym zaznasz spokoju, aż ukończę me zadanie, potem czas na pożegnanie. Póki chwila ta odległa, witam cię jak przyjaciela.

Pot ściekał po jego twarzy. Młody nowicjusz recytował w myślach słowa, ale przez ból w kolanach ledwo mógł się skupić. Ból promieniował, wzmagał się i rozprzestrzeniał po całym ciele. Z wielkim wysiłkiem udało się adeptowi oddzielić cierpienie od świadomości. Skargi na nic by się nie zdały. Gorzej — przeszkodziłyby w wykonaniu zadania. Klęczenie od wielu godzin na nieustępliwie twardym kamieniu było niemal nie do zniesienia. Jednak młody nowicjusz wiedział, że gdy cierpienie staje się przeszkodą, której nie można pokonać, należy zmienić to, jak się je odbiera. Jedynie akceptując ból można go przewyciężyć.

Już dawno bym zawiódł, pomyślał zrozpaczony nowicjusz, gdyby tylko mistrz umiał czytać w myślach. Mnisi z Iwogrodu posiadali legendarną kontrolę nad swoimi ciałami — w trudnych chwilach ich umysły opuszczały wymiar fizyczny i przechodziły w wyższy stan świadomości. Nauczyciele powiedzieliby, że trzeba oczyścić umysł nie po to, by osiągnąć swój cel, lecz by usłyszeć bogów, gdy przemówią. Bogowie przemawiali bowiem do wszystkich, którzy słuchali — ich głosem mógł być wiatr, deszcz, rzeki, przyroda, a nawet, jak w przypadku Ytara, ogień.

Lecz w tej przestronnej, ciemnej komnacie do Mikułowa przemawiało tylko pulsowanie w uszach i obolałych kolanach. Połączone wrażenia i krople potu na czole były oznakami, że ciało i umysł nowicjusza nie znajdowały się w doskonałej harmonii. Mikułow raz jeszcze postarał się uspokoić.

Bólu, witaj...

Skrzywił się i przeląkł, że nie zdoła pokonać boleści. Jak można przewyciężyć to, co jest nie do zniesienia? Był głupcem, sądząc, że mu się uda, tak jak był głupcem, gdy wkroczył do tego miejsca i ujrzał, że nie ma stąd wyjścia...

W położonym w górach na skraju lasu Gorgorra Niebiańskim Klasztorze, siedzibie legendarnych mnichów z Iwogrodu, dzieci dorastały w wiecznej samotności. Bez względu na powody, dla których się tam znalazły, wszystkie wiedziały aż za dobrze, czym jest głęboka tęsknota za rodziną. To je do siebie zbliżało. Łączyło też dzieci wspólne pragnienie, nadzieja, że pewnego dnia zostaną mnichami. Nie było to jednak łatwe. Młodemu, którym brakowało chęci do nauki, wcześniej czy później nakazywano odejść. Jeżeli chcieli zostać, musieli udowodnić, że są gotowi do podjęcia niełatwych i żmudnych ćwiczeń ciała i umysłu. Dlatego dostawali ostatnią szansę: przewyciężyć fizyczne ograniczenia. Ci, którzy nie potrafili podołać temu wyzwaniu, musieli opuścić klasztor na zawsze.

Gaszew, jeden ze starszych chłopców, od lat dokuczał Mikułowi. Jego upór i odporność na klasztorną dyscyplinę w końcu sprowokowała mnichów do wystawienia chłopaka na próbę. W dniu, gdy kazano mu się zmierzyć z wyzwaniem, panowało okrutne zimno, a Gaszew otrzymał skromny prowiant. Wyraz czystego przerażenia na twarzy łobuza kazał Mikułowi nie oczekiwać powrotu probanta. I rzeczywiście, od tamtej pory więcej o Gaszewie nie słyszano. Na początku wyrzucenie dręczyciela sprawiło Mikułowi radość, dopóki nie zdał sobie sprawy, że sam też kwestionował autorytet mnichów, więc i jego prawdopodobnie czekało podobne wyzwanie.

Gdy sylwetka Gaszewa zamazywała się w oddali, Mikułow spojrzął w twarz starego mędrca, mistrza Vedenina. Mnich przypominał pozostałych — znoszone, długie

szaty, biała broda i gładka głowa. Tym, co wyróżniało go w zakonie słynącym ze spokoju, była surowość. Ta cecha starca wyryła się dobrze Mikułowi w pamięci.

Jesteś głupi — wychrypiał kiedyś Vedenin. Nie zmieniając tonu i nie podnosząc głosu potrafił wypełnić każde słowo jadem i pogardą. — *Posiadasz szybkość, zwinność i bystry umysł, jednak jesteś pyszny, lekkomyślny i słaby. Skupiasz się li tylko na swych krzywdach i urazach, pozostając głuchym na głos bogów. Twe czyny zhańbią cię i ten klasztor.*

Mikułowi usłyszał te słowa ponownie owego dnia, gdy Vedenin rzucał pogardliwe spojrzenie na odchodzącego Gaszewa. Mnich niewątpliwie wypatrywał dnia, gdy skaże Mikułowa na ten sam los. A Mikułowi instynktownie wyczuwał to pragnienie Vedenina.

Chłopak poprzysiągł sobie wówczas, że nie zawiedzie. Choć był młody, postanowił poświęcić resztę swoich dni w klasztorze na przygotowanie się do gehenny, o której wiedział, że w końcu nadejdzie.

Mnisi nauczali, że każdy człowiek to chodząca broń, ale poleganie tylko na jednym zasobie byłoby niemądre. Prawdziwa moc mnicha, jak głosili, brała się z samodyscypliny i hartu ducha. Dlatego zakon wymagał od swych akolitów opanowania broni we wszystkich trzech aspektach: broni umysłu, broni fizycznej oraz najgroźniejszej — broni ducha, której bogowie użyczali godnym tego wyznawcom. Kiedy mnich osiągał duchową równowagę, mógł dzierżyć bardziej przyziemny oręż, który stanowił przedłużenie jego mocy. Mikułowi poprzysiągł sobie, że tego dokona.

Gdy tylko nauczyły się chodzić, dzieci z zakonu miały styczność z bronią białą. Mikułowi szczególnie upodobał sobie sztylet naręczny o krótkim, zabójczym ostrzu wystającym pomiędzy zaciśniętych na poprzecznej rękojeści palców. Młodzieniec szybko — wręcz błyskawicznie — przyzwyczyił się do korzystania z tego oręża, choć

oczywiście na początku był mu niechętny, wybór ten narzucił mu bowiem Vedenin. Na początku Mikułow chciał korzystać z łuku.

— Łuk jest doskonały w starciu na dystans, lecz nieskuteczny w zwarcu — odparł stary mnich z pogardą.

Mikułow się nie zgodził, wszak łuk pozwoliłby trzymać wrogów z daleka, nie dając im nawet szansy, by się zbliżyć. Vedenin odparł, że istnieją lepsze narzędzia do walki na odległość i tylko słabi wybierają łuk. Kiedy Mikułow parsknął, starzec wykorzystał okazję, by poniżyć go przed resztą chłopców i dziewcząt. Vedenin kazał mu wziąć łuk i dwie strzały, a następnie odszedł na dziesięć kroków i stanął ze skrzyżowanymi ramionami, schowawszy dłonie w obszernych rękawach szat.

— Czym byś mnie zaatakował z tej odległości? — zapytał. Mikułow podniósł łuk.
— Więc go użyj.

Mikułow usłyszał lekką zmianę w głosie Vedenina — to już nie była wymiana zdań, to było wyzwanie. Wszystko odbyło się na oczach innych nowicjuszy. Młodzieniec dobył pierwszą strzałę wciąż obserwując mnicha. Zauważył, że dłoń w jednym z rękawów poruszyła się i brzechwa pękła chłopcu w rękę.

Vedenin zmniejszył odległość do pięciu kroków.

— Czym byś mnie zaatakował z tej odległości?

Mikułow nerwowo sięgnął po ostatnią strzałę.

— By wykonać łuk, potrzeba czasu — oświadczył Vedenin. — Siła duchowa działa natychmiast.

Jego następny gest był tak miękki i subtelny, że Mikułow nawet nie dostrzegł ruchu. Zarówno strzała, jak i łuk eksplodowały deszczem drzazg. Młodzieniec zapłonął wstydem, słysząc śmiech innych uczniów.

Starzec stał teraz na wyciągnięcie ręki. Ze wzgardą zapytał:

— A z tej odległości?

Mikułow spojrział na mistrza gniewnie.

— Gołymi rękami.

Mnich poruszył dłonią o wiele zwinniej i szybciej niż wskazywałby na to jego wiek. Niezwykle cienkie i ostre krawędzie sztyletu naręcznego przecięły powietrze tak blisko Mikułowa, że poczuł na twarzy powiew.

— Spróbuj — rzekł Vedenin tak cicho, że jego słowa dotarły tylko do uszu chłopaka.

Choć podczas lekcji Mikułow został upokorzony, był na tyle pojętny, by wyciągnąć z niej naukę. Niesamowita zwinność i zmysł równowagi uczyniły z niego groźnego przeciwnika w walce w zwarcu z użyciem sztyletu naręcznego. Regularnie spływał potem na placu do ćwiczeń. Z czasem chłopak osiągnął mistrzostwo w walce sztyletem.

Mistrzostwo umysłu i ducha pozostawało jednak dla niego nieosiągalne.

Prawdziwa sprawność w walce pochodzi nie z recytowania tajemnych zwojów. Nie — w starożytnym zakonie wierzono, że moc bogów obecna jest we wszystkim, czy to w materii żywej, czy nieożywionej, i że moc ta obejmuje całe dzieło stworzenia. Dlatego też akolici w Niebiańskim Klasztorze spędzali życie na nauce wyczuwania tej siły, gdziekolwiek się znajdowała, i wykorzystaniu jej w celach, które Patriarchowie, głos bogów Iwogrodu, uznają za stosowne.

Pewnego dnia podczas ćwiczeń Mikułow uderzał w drewniany słup udający przeciwnika z taką szybkością, że zdumionym obserwatorom broń wydawała się jedynie smugą. Chłopak osiągnął skupienie tak niezmacone, że podświadomie dotarł umysłem do pokładów boskiej mocy. Choć zdarzenie to było udziałem przypadku i choć

Mikułow wykorzystał jedynie ułamek dostępnej potęgi, jego broń uderzyła w słup z siłą więcej niż tylko fizyczną. Ostrze sztyletu błysnęło niebiesko, a fala uderzeniowa powaliła kilku z najbliższych stojących świadków i rozeszła się wzdłuż murów klasztoru. Dwójka oszołomionych sierot pobiegła, aby wezwać mądrych mistrzów, chociaż nie było to konieczne. Większość mnichów w Niebiańskim Klasztorze spędzała dni na kontemplacji otoczenia, w oczekiwaniu na znaki od bogów. Tak wyraźna manifestacja boskiej mocy nie mogła umknąć ich uwadze.

Mikułow, już obyty w korzystaniu z broni fizycznej, opanował ciało i umysł w stopniu pozwalającym dokonać niezwykłego czynu. Wiedział, że zapewne wkrótce czeka go czas próby. Kiedy na placu do ćwiczeń zjawił się surowy Vedenin i obrzucił go kamiennym spojrzeniem, Mikułow miał już całkowitą pewność, że ta pora nadeszła.

W następnych dniach Mikułow dokładał starań, by opanować nowo odkrytą umiejętność — próbował przywoływać boską moc.

Siła była gwałtowniejsza i lepiej nad nią panował, kiedy koncentrował się wyłącznie na zamierzonym efekcie. Na początku młodzieńcowi szło niezdarnie i czuł się nieswojo, a efekt utrzymywał się irytująco krótko. Gdyby chodziło o materialny przedmiot, bez wątpienia Mikułow nie mógłby go utrzymać i ciągle by upuszczał. Nauczył się jednak, że może czerpać ze źródła tej mocy, kierować nią, a nawet wzmacniać.

Opracował własny plan ćwiczeń i realizował go nieustępliwie.

Intensywnie skup myśli na chęci uwolnienia mocy poprzez ostrze. Skoncentruj się na tym. Skumuluj swoją determinację — niech twoje pragnienie uwolnienia energii przepłynie z umysłu przez każdą tkankę twego ciała i każdą cząstkę twojej duszy.

Po kilku udanych, choć ograniczonych próbach, nauczył się, że kluczem nie jest sama koncentracja.

Musisz się skupić, lecz zachować cierpliwość, spiesz się powoli, lecz z determinacją.

Postanowił nigdy o tym nie zapominać, gdyż moc bogów była darem — ponaglanie ich zaś do hojności tylko próżnością i brakiem respektu.

Bogowie dadzą ci to, czego potrzebujesz, kiedy będziesz tego potrzebować. Twój obowiązek jest prosty — skoncentruj się w chwili, gdy bogowie dokonają wyboru.

Szczegóły dotyczące tego, co składało się na próby adeptów, stanowiły jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic klasztoru. Ci, którzy nie sprościli wymaganiom, byli natychmiast wyrzucani, ale a garstka tych, którym się udało, trafiała w odosobnienie, by tam poświęcić się pilnej nauce, czasami trwającej dekady. Dociekliwi, młodszy nowicjusze nie mieli już dostępu do starszych uczniów.

Krażyły jednak plotki o pewnych ogólnych zasadach.

Poza jedną wybraną bronią — w przypadku Mikułowa nie było wątpliwości, że to sztylet naręczny — probantom przyznawano zwój z zapisaną przez mistrzów mantrą, który mieli nosić zawsze przy sobie. Rodzaj mantry wybierał uczeń. Choć Mikułowa bardzo się starał, nie mógł się zdecydować tylko na jedną. Każdej nocy kręcił się niespokojnie w łóżku i wysilał umysł, szukając umykającej mu odpowiedzi.

Co będzie niezbędne dla mojego przetrwania?

W końcu o jego wyborze nie zdecydował namysł, lecz strach.

Kiedy stanął przed zgromadzonymi mistrzami Niebiańskiego Klasztoru, otrzymał do wyboru szeroką gamę zwojów. Ponieważ słońce jeszcze nie wzeszło, na zwoje padał blask pochodni. Niektóre z nich były obszerne i długie, inne niewiele większe od małego palca. Kilka były zdobionych i kunsztownie zapieczetowanych.

— Twoje wyzwanie — powiedział Vedenin (naturalnie to on był tym, który podda go próbie) — ma na celu dowieść, że potrafisz podporządkować swój umysł, swą broń i swojego ducha woli bogów. Odejść od ołtarza własnej próżności i oddać im cześć.

Uśmiezek na jego pozornie łagodnej twarzy zdradzał, jak niewiele wiary człowiek ten pokładał w nowicjuszu.

Mikułow się zawahał. Poczł ciężar dezaprobaty mistrza, własnej niepewności oraz fizycznych niebezpieczeństw, czających się za murami klasztoru. Jego wahanie ustąpiło miejsca decyzji, która wtedy wydawała się oczywista.

Wybrał mantrę leczenia.

Wraz ze zwojem pergaminu otrzymał złożoną kartkę papieru, zapieczętowaną lakiem z symbolem klasztoru. Polecenie, które otrzymał, było proste: odpieczętować dokument za siedem dni, po tygodniu modlitw i medytacji, które miały nowicjusza przygotować. Dopiero o wschodzie słońca ósmego dnia miał złamać pieczęć i przeczytać dalsze polecenia.

O świcie Mikułow opuścił sanktuarium mnichów. Instynktownie udał się na wschód, w głąb gór otaczających Iwogród. Miał ze sobą jedynie zwój i złożoną kartkę, a u biodra pochwę ze sztyletem naręcznym. Nie dostał żywności, ponieważ czekał go post przez cały tydzień, ani wody, ponieważ nikt, kto nie byłby zdolny do zaspokojenie pragnienia, nie mógłby też liczyć na zdobycie wiedzy, której oczekuje się od mnichów z Niebiańskiego Klasztoru.

Jeśli młodzieńcowi nie udałoby się znaleźć wody w pierwszym tygodniu próby, niech tak będzie. Zawiódłby — i umarł — zanim zdołałby jeszcze usłyszeć choćby szept bogów, a co dopiero wypełnić ich wolę.

Tydzień rozpoczął się w spokoju i ciszy. Priorytetem Mikułowa była woda. Udał się więc na krawędź stromych wzgórz, które łączyły się na południu z pasmem gór Kohl. Przez lata widział je z okna przy swoim łóżku w dormitorium, Wiedział, że u podnóża znajdzie strumień, wszak woda zawsze płynie w dół.

Mistrzowie powtarzali, że bogowie częstokroć przemawiają do ludzi w ten sposób — poprzez wiedzę, instynkt i intuicję, którymi kierował się myślący adept. Jego pewność została nagrodzona: u podnóża pasma wzgórz znalazł jezioro polodowcowe o czarnych, acz czystych wodach, zasilane przez strumyk spływający wśród potężnych skał. Mikułow skłonił się w podzięcie za dar, po czym wziął łyk, by odświeżyć się po długim dniu marszu i przygotować na nadchodzący tydzień. Był szczęśliwy, że tak szybko odkrył źródło, wiedział bowiem, że to prawdopodobnie najważniejsza z jego prób. W nieubłaganym, letnim skwarze, woda zaspokajała najważniejszą z życiowych potrzeb.

Postanowił poszukać schronienia przy jeziorze, ponieważ uznał, że pozostanie blisko szczodrego daru bogów było jednoznaczne z okazaniem wdzięczności.

Wiedział, że za górami ciemność zapada szybko, i wkrótce znalazł skrawek ziemi mniej twardy od reszty, tuż pod nawisem skalnym. To również uznał za dar i odprawił dziękczynne modły, zanim się położył.

Po przebudzeniu zaplanował, co będzie robił przez następne sześć dni. Poszedł do jeziora, dokonał ablucji i zmył ślady męczącej wędrówki. Był to najgorętszy miesiąc roku i nawet w nocy panowała nieznośna duchota. Mikułow pocił się, choć nie wykonywał żadnego wysiłku, a chciał każdego dnia zbliżyć się do bogów czysty i niesplamiony. Gdy tylko pokazywały się pierwsze promienie słońca, wchodził do wody i zanurzał się całkowicie. Wstrzymywał oddech najdłużej, jak umiał, modląc się do bogów o to, by okazać się ich godnym. Ablucje te powtarzał co świt.

Spodziewał się, że dni miną mu w niezmałconej ciszy i na kontemplacji. Poczłł całkowity spokój ducha, nie napotkawszy żadnych przeszkód do przewycięzenia i żadnych drapieźników, z którymi musiałby się zmierzyć. Spędzając czas w nieprzerwanej samotności, nie wypowiedział ani słowa.

Jednak tydzień nie okazał się taki spokojny. Zjawił się Gaszew i jak to Gaszew miał w zwyczaju, zachowywał się bardzo głośno.

Czwartego dnia, kiedy słońce stało w zenicie, a powietrze zrobiło się nieubłagane gorące, kolega-sierota przemówił po raz pierwszy. Mikułow pozostawał blisko miejsca swojego odpoczynku, uczynił z tego zwyczaj. Nawis zapewniał mu wielogodzinny cień nawet w najgorszym upale. Adept wiedział, że im więcej czasu spędzi bezpośrednio na słońcu, tym szybciej straci siły. Wychodził z cienia wyłącznie po to, by uzupełnić zapasy wody, która parowała z niego w skwarze zarówno za dnia, jak i w nocy. Lecz mimo zachowania środków ostrożności, nowicjusz wkrótce zaczął odczuwać pierwsze efekty powolnego odwodnienia.

To właśnie wówczas, gdy niepokój zmienił się w niepewność, Mikułow usłyszał drwiący głos.

— Dlaczego myślisz, że osiągniesz to, co mnie się nie udało?

Mikułow otworzył oczy i wychylił się z cienia. Naprzeciwno obozowiska leżał w słońcu Gaszew, odziany w strój, który miał na sobie w dniu opuszczenia klasztoru. Łobuz wcale się nie zmienił. Jak po tylu miesiącach spędzonych w górach tunika Gaszewa mogła pozostać nienaruszona, a jego skóra czysta i gładka? Mikułow skupił się jednak przede wszystkim na spokoju, jaki wykazywał jego poprzednik, który leżał sobie w skwarze i przyglądał się swemu następcy beznamiętnie.

— Pierwszego dnia tutaj też byłem nieszczęśliwy i pewny, że nigdy już nie zaznam radości. Jednak widok innych głupców starających się przetrwać tydzień w tej

piekielnej dziczy nauczył mnie znów się śmiać — powiedział. Potem uniósł brwi jakby zdjęty trwogą i spojrzał na Mikułowa.

— Do rozpuku — dokończył.

Mikułow był tak zaskoczony, że niemal się odezwał.

Nie obowiązywały go śluby milczenia, jednak uważał za zrozumiałe, że bogów można usłyszeć tylko wśród absolutnej ciszy. Dlatego mimo drwin Mikułow trzymał język za zębami. Patrzył tylko, choć pot zalewał mu oczy — przecież Gaszew powinien nie żyć.

Czy to naprawdę Gaszew, czy jedynie zjawa? Biorąc pod uwagę niezmienny wygląd i nagłe przybycie, Mikułow uznał, że to tylko wytwór jego wyobraźni, miraż spowodowany upałem i odosobnieniem.

Kiedy Gaszew znów zaczął mówić, z jego głosu znikły nuty drwiny, lecz słowa i tak wstrząsnęły Mikułowem i wzbudziły głęboko ukryte obawy.

— Nikomu z nas się nie udaje. Żaden nowicjusz nie przeszedł jeszcze próby. I żaden nie przejdzie — stwierdził beznamiętnie Gaszew.

Dni głodu szybko zamieniły się w dni rozdzierających umysł wątpliwości, a sytuację pogarszały złośliwe komentarze Gaszewa. Implikacje tego, co powiedział, i to wielokrotnie, podsycaly rosnące pragnienie zerwania pieczęci i przedwczesnego podjęcia próby, a nawet podarcia kartki bez otwierania. Mikułow zaczął zapuszczać się coraz dalej od nawisu i jeziora, ale Gaszew zawsze był blisko, śmiał się bezradośnie ze starań chłopca, próbującego skupić się na swym czuwaniu.

W ciągu następnych dni kpiny i pytania zrodziły aż nazbyt prawdopodobne teorie. Mistrzowie z Niebiańskiego Klasztoru nigdy nie wynieśli nikogo spośród młodych, niepokornych uczniów — akolici nie zostawali w zakonie. Mistrzowie byli

przecież niezwykle wybredni przy wyborze kandydatów na mnichów. Gdy ulegli nowicjusze kończyli nauki, służyli jedynie za darmową siłę roboczą, dopóki nie zaczęli sprawiać zbyt wielu problemów, a wtedy wysyłano ich na śmiertelne próby i zastępowano nowym pokoleniem łatwowiernych adeptów. Czy właśnie w ten sposób Niebiański Klasztor przetrwał stulecia?

Mikułów zrozumiał, że to przez obawy ponosi go wyobraźnia, że dostrzega oznaki intryg, które nie istnieją. Starał się wyzbyć wątpliwości, przypominając sobie sierotę, która wróciła zwycięsko ze swoich prób, ale nikt taki nie przychodził mu do głowy. Podobno tych, którym się udało, separowano od kolegów i koleżanek, aby adeptów nic nie rozpraszało — wszak nauka w odosobnieniu miała być ich nagrodą.

Insynuacje Gaszewa miały sens...

— Jesteś głupcem — mówił. — Jesteś dumny i porywczy, i słaby. Twoje postępowanie tutaj nie uczyni cię mnichem. Doprowadzi cię jedynie nieuchronnie do grobu, który podzielisz ze swymi braćmi i siostrami.

Złowieszcza wypowiedź przywiodła na myśl niezliczone, tragiczne prognozy Vedenina, który twierdził, że czyny Mikułowa przyniosą hańbę chłopcu i innym nowicjuszom. Teraz, tak jak wówczas, Mikułów postanowił wierzyć w co innego. Raz jeszcze spojrzął na nienagannie czystego Gaszewa i wspomniął swego nieustępliwego mistrza. W słowach obu kryły się przestrogi, które wzmagały lęk skrywany przez Mikułowa: strach nie przed śmiercią, lecz zhańbieniem. Chłopiec, który chciał zostać mnichem, uznał, że Gaszew jest wytworem jego wyobraźni, towarzyszem wymyślonym w samotności podczas tygodnia przygotowań spędzonego w górach.

Jego drwiny są odbiciem moich własnych obaw.

I tak, aż do ostatniego dnia, gdy tylko Gaszew otwierał usta, Mikułów odrzucał jego słowa. Gaszew drwił z jego wysiłków, ale Mikułów powtarzał sobie, że chłopak to

jedynie chimera zrodzona ze znoju, bólu i nie rozwianych w porę wątpliwości. Siódmego dnia intruz przestał dla Mikułowa istnieć.

Lecz wówczas Gaszew uratował mu życie.

Czekanie do następnego ranka, kiedy będzie można zerwać pieczęć i poznać polecenia mistrzów, dłużyło się nowicjuszowi okrutnie. Mikułow pragnął sięgnąć po przeznaczenie w pierwszej możliwej chwili. Chciał przywitać dzień z samego szczytu góry, gdzie świt nadejdzie wcześniej niż u podnóża. Choć wspinaczka po kamienistym zboczu będzie żmudna, wyzwanie zdawało się tego warte, jeśli tylko agonია oczekiwania skończy się choć kilka minut wcześniej.

Zatem wyruszył. Słońce już dawno minęło zenit, jednak upał zdawał się tylko pogarszać. Mikułow zaczął jednak wspinaczkę, aby dotrzeć na szczyt jeszcze za dnia i spędzić ostatnią noc modlitw i medytacji bliżej bogów. Nie przejmował się wodą, gdyż trasa, którą obrał, wiodła blisko strumyka, zasilającego jezioro obok obozowiska.

Gaszew nie przepuścił okazji, by przypomnieć Mikułowi, że wyruszył nieprzygotowany.

Na początku chłopak był pewien, że na większej wysokości nadal będzie miał dostęp do wody, ale tak się nie stało, a nieustępliwy skwar i wysiłek sprawiły, że język spuchł mu z pragnienia. Mikułowa kusiło, aby zawrócić, ale kiedy się obejrzał i zobaczył, o ile bliżej ma na szczyt niż do obozowiska, kontynuował marsz.

— To śmiesznie, cały ten wysiłek.

Mikułow, dysząc, zignorował swego niechcianego towarzysza.

— Zmierzasz ku pewnej i przedwczesnej śmierci.

Nowicjusz miał wrażenie, że każda skała próbuje mu skrócić kostkę, każda szczelina uwięzić stopę.

— Zapewniasz bogom jedynie rozrywkę.

Nowicjusz był osłabiony przez upał i wysiłek. Bał się, że straci czujność i zrobi sobie krzywdę w tym niebezpiecznym terenie. Gdyby złamał kość, musiałby przedwcześnie użyć mantry leczenia. A gdyby potem potrzebował jej bardziej?

— Tysiąc i jeden bóg są bezsilni.

Słyszając to niewybaczalne bluźnierstwo, Mikułow zapragnął dać upust swej furii, ale przypomniał sobie jedną z reprimend w litanii Vedenina: *Bogowie istnieją we wszystkim, co materialne i duchowe*. Skoro tak, muszą być też obecni w gniewie Mikułowa. Dodało mu to energii. Mógłby ją wykorzystać, żeby krzyknąć na Gaszewa, lepiej jednak było tę energię przekierować niż marnotrawić na wściekłość. *Nie tłamś gniewu, ani go nie odrzucaj. Poczuj go. Wykorzystaj*.

Czerpiąc z tego nowego źródła, Mikułow zmusił się do wysiłku.

Dotarł na szczyt, gdy zapadała noc. Wspiął się na skalny taras zakończony urwiskiem. Był tak wyczerpany, że nie miał czasu szukać miejsca na odpoczynek. Oddalił się od krawędzi na tyle, by nie spaść, po czym osunął się na skaliste podłoże.

Obudził się w chłodnej ciemności. Zesztywniałe stawy podpowiadały mu, że w ogóle się nie poruszał. Potrzebował kilku prób, by otworzyć oczy, a kiedy się udało, zobaczył Gaszewa siedzącego na pobliskiej skale i kręcącego głową w litościwym milczeniu. Kiedy pierwsze światło dnia spowiło horyzont na wschodzie miękką niebieską poświatą, Mikułow spróbował się podnieść. Bez skutku. Sen niewiele pomógł. Mikułow był wycieńczony. Obrócił się na plecy, popatrzył w niebo i zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem. Słońce wkrótce wzejdzie zza horyzontu, a chłopak nic nie czuł, był jak odcięty od własnego ciała. O dziwo, nie czuł nawet znanej mu dobrze, porannej potrzeby opróżnienia pęcherza. Wziął to za zły znak. Brakowało mu

wody niezbędnej do przetrwania w górach. Nie przygotował się do tych ekstremalnych warunków. W pamięci odbiły mu się echem słowa klątwy Vedenina: *Zawiedziesz, zanim jeszcze zaczniesz*. Mikułow dodał do tego swoje własne, ciche przekleństwo.

— Tak — potwierdził jego myśli Gaszew. — Jesteś głupcem.

Raz jeszcze wezbrał w Mikułowie gniew.

Chce, bym zawiódł, pomyślał, ale znów przekierował złość. Mimo obolałego ciała, wykorzystał nagłe ożywienie, by się podnieść. Gdy wstał, pierwsze promienie słońca, musnęły jego czoło.

Zaczekał, aż w głowie przestanie mu się kręcić. Dopiero wtedy zauważył, że w dłoni trzyma kartkę. Przez siedem dni leżała bezpiecznie w kieszeni tuniki i Mikułow nie przypominał sobie, by ją wyciągał. Drżącymi palcami próbował podważyć pieczęć. Było mu wstyd, że tyle wysiłku kosztowało go odcepienie kawałka laku. Zamknął na chwilę oczy, a potem rozłożył arkusz, by go przeczytać.

Wewnątrz.

Mikułow poczuł się nagle zbyt zmęczony, by choćby poczuć gniew. Na kartce znajdowało się tylko jedno słowo? Co to za nonsens? „Wewnątrz” to żadna instrukcja. Mistrzowie popełnili błąd, może pomylili dyspozycje dla adepta ze zwyczajną wiadomością do innego chłopca. Pewnie teraz jedna z sierot, zamiast otrzymać wskazówki dotyczące codziennych obowiązków, ze zdumieniem czyta szczegółowe polecenia odnoszące się do wyzwania, jakie Mikułow ma podjąć na pustkowiu. Myśl wydawała się absurdalna. Oszołomiony chłopak przestraszył się, że oszaleje tutaj, na szczycie góry. Stłumił rozpaczliwy śmiech. Nie zamierzał dawać Gaszewowi satysfakcji.

Nie śmiał urazić bogów. Ta wiadomość nie była błędem ani dziełem przypadku. Łamał sobie głowę, by zrozumieć, jak to słowo pasuje do jego sytuacji. Na pewno coś przeoczył.

Wewnątrz. Wewnątrz czego? — zadawał sobie pytanie i wtedy jego wzrok padł na szczelinę między skałami. Wyglądała jak wejście do jaskini.

Otwierało się w skale pięćdziesiąt kroków niżej, na szczycie naprzeciwko tego, na który się wspiął. Otwór w ścianie stoku ocieniał misternie wykuty w kamieniu łuk, nie dłuższy niż ramię. Przyciągał Mikułowa.

Wewnątrz.

Skąd mistrzowie wiedzieli, że nowicjusz wejdzie właśnie na tę górę? Nie dali mu przecież instrukcji co do kierunku, w jakim miał się udać. Chłopaka prowadził wyłącznie instynkt.

Słowa Vedenina wdarły się nieproszone do umysłu adepta: *To, co odbierasz jako instynkt, jest raczej wyrazem boskiej interwencji.*

Czyżby tą wędrówką pokierował przekaz, z którego chłopak nie zdawał sobie sprawy? Jeśli tak, mistrzowie również zostali poprowadzeni przez bogów i przygotowali tę wiadomość, nie wiedząc nawet co — gdy nadjedzie odpowiedni moment — oznaczać ona będzie dla przechodzącego próbę akolity.

Wejście nie dawało żadnych odpowiedzi. Poranne promienie padając na stok, szybko ogrzały skałę. Ten dzień, domyślił się Mikułow, będzie jeszcze trudniejszy i gorętszy niż poprzednie. Chłopak nie wiedział, czy znalazł się tutaj za sprawą bogów, czy przez ślepy traf, ale jaskinia przynajmniej zapewniała ochronę przed upałem.

Wycieńczenie i determinacja walczyły o panowanie nad jego wyczerpanymi mięśniami. Mikułow niezdarnie ruszył naprzód. Naprzód, ku wejściu, pchała go bardziej

siła grawitacji aniżeli siła woli. Nie wiedział, co kryje się w ciemnościach, ale pozwolił, by go ogarnęły. *Wewnątrz.*

Tylko na krótko zastanowił się, dlaczego Gaszew został w tyle.

Schodząc w mrok, odniósł wrażenie, że otoczenie było nierzeczywiste; te korytarze nie mogły istnieć. Choćby to, że zostały wykute — nie, misternie wyrzeźbione w skale — wydawało się niepojęte. Jeszcze trudniej było zrozumieć, że nadal wszystko widział, głęboko pod ziemią. Początkowo, gdy kroczył po nierównych schodach, Mikułow sądził, że widzi dzięki światłu, padającemu przez wejście, ale po jakichś stu krokach wiedział, że to niemożliwe. Nawet rażące promienie słoneczne w górach nie mogłyby dotrzeć tak głęboko, a ukryte świetliki lub niewidoczne szczeliny w skale nie wystarczyłyby do tej dziwnej iluminacji. Wreszcie, kiedy rozciągnął się przed nim długi i poziomy korytarz, Mikułow zrozumiał, że tego, co widzi, nie da się tak łatwo wyjaśnić. Zdawało się, choć to niemożliwe, że miękki blask bije z wnętrza ścian.

Co to takiego? — zapytał w duchu Mikułow. Przyjrzał się badawczo skałom. Światło rzeczywiście płynęło w nich niczym krew. Pulsowało w rytmie zgodnym z biciem serca nowicjusza.

Gdzie, u diabła, się zapędziłem?

Mikułow rozważył, czy to, co ujrzał do tej pory, zgadzało się z jego wiedzą o zachowaniu bogów.

Wiem, że bogowie przemawiają do nas poprzez znaki, zarówno te pochodzące z natury, jak i te objawiające się w dziełach ludzi. Ponadto bogowie istnieją we wszystkim, pomyślał, a światło w kamieniu zdało się mocniejsze, jakby na potwierdzenie, że jest znakiem bogów. Także te schody, ten korytarz — wyraźnie wykuty przez ludzi —

musiał stanowić manifestację woli bogów. Nie widząc niczego, co by temu przeczyło, Mikułow poświęcił chwilę, by zastanowić się, co chcą mu przekazać.

Trudno było mu się skupić; pragnienie przeszkadzało mu w myśleniu, a mięśnie łydek drżały z wysiłku, choć stał w bezruchu. Umartwianie się przez ostatnie siedem dni i nocy odcisnęła piętno na jego ciele, a tym samym również na jego umyśle. Nawet kiedy nadludzkim wysiłkiem zmusił się do stłumienia dyskomfortu, nadal nie mógł się skoncentrować.

Myślami wrócił do Gaszewa. Mikułow nareszcie zastanowił się, dlaczego chłopak nie zszedł razem z nim. A im bardziej próbował skupić się na wiadomości od bogów, tym bardziej jego koncentrację mąciła myśl o Gaszewie. Dawny dręczyciel przez kilka dni wyczekiwał, wręcz rozkoszował się każdym rozczarowaniem Mikułowa, więc jak mógłby przepuścić okazję do tego, by cieszyć się z konfuzji i nieuchronnej porażki nowicjusza?

Mikułow uniósł wzrok do światła na szczycie schodów, po których właśnie zszedł. Wyciągając szyję nad wystające kamienie, Mikułow ujrzał swojego prześladowcę. Starszy chłopiec spoglądał na niego z powagą. Żadnych docinków, żadnych drwin, żadnego prowokowania. Jedynie milczące czuwanie. Wydawało się, jakby Gaszew bronił schodów przed czymś, co mogło stamtąd nadejść i sprowadzić na Mikułowa zgubę.

A może chciał odciąć Mikułowi dostęp do powierzchni, świeżego powietrza i dziennego światła?

Dopiero widok Gaszewa w oddali pozwolił Mikułowi ocenić, jak głęboko zapuścił się w czeluście góry, Młody adept poczuł strach. Wskazał zacieniony korytarz zachęcając starszego chłopaka, by poszedł razem z nim.

Gaszew pozostał tam, gdzie stał. Jedynie pokręcił głową.

— To twoja próba. — Jego słowa spadły na Mikułowa jak ciężki, chłodny deszcz.
— Ja dalej nie pójdę.

Młodego nowicjusza ścisnęło w gardle. Odwrócił się i skupił raz jeszcze na żywym świetle w ścianach. Tętniły, choć słabo i miękko, nie tylko światłem, lecz także dźwiękiem. Mikułow dostrzegł i usłyszał, że sygnały te biegną ku cieniom na końcu korytarza. Choć nie na taki znak liczył, umiał go rozpoznać: była to wyraźna sugestia, by iść naprzód. Mikułow zmusił się do wysiłku i z wielką niechęcią oraz niepewnością ruszył ku wskazywanej przez światło ciemności.

Spodziewał się, że natknie się na labirynt lub złowrogą nekropolię, która wyrośnie i pochłonie go, ale wkrótce Mikułow znalazł się u wejścia do pustej jaskini wyłożonej kamiennymi blokami. Choć komora, położona głęboko w skale, nie miała innego wejścia, rozjaśniał ją perłowy blask z domieszką chyba wszystkich odcieni czerwieni równoważonej i wzmacnianej przez zieleń rzadko rosnących porostów. W jaskini odbywał się niezwykły pokaz gry światła i cienia, jakiej Mikułow nigdy nie widział ani sobie nie wyobrażał. Kolory stawały się coraz mocniejsze, a palący blask pulsował w szybszym rytmie.

Czyżby to była moja próba? Nic tutaj nie ma.

Gdy Mikułow podniósł nogę, by wejść do komory, rozległ się głos Gaszewa.

— Zamierzasz tak beztrąsko wpakować się do jaskini bez wyjścia?

Mikułowa kusiło, by wrócić, skąd przybył, ale wiedział, że Gaszew nie idzie za nim. Słyszał słowa we własnej głowie, był to głos jego strachu.

Aby nie ulec obawom, przywołał wszystko, co uznawał za prawdę. Do tej pory wierzył, że bogowie wysyłają mu znaki, i nie zamierzał się teraz cofnąć. Mikułow śmiało zszedł na kamienne dno jaskini.

Za nim nie zapadły żadne kraty, woda nie zalała komory, ani ściany nie zaczęły się zbliżać, by go zmiażdżyć. Jedynie połyskująca w nich energia pulsowała rytmicznie. Światło przestało się jednak poruszać, gdy nowicjusz stanął na środku. Znajdował się tam, gdzie chcieli tego bogowie.

Ale co miał tutaj robić?

Czekał. Stracił poczucie czasu, ponieważ okoliczności, czy z chwili na chwilę, czy z godziny na godzinę, ku jego irytacji się nie zmieniały. Mikułow posłuchał instynktu, który wziął za wolę bogów, a mimo to wyczerpany dotarł tylko do ślepego zaułka. W skroniach zaszumiała mu krew, gdy podskoczyło mu tętno. Gniew pozwolił mu odzyskać pewność siebie, a frustracja nakazała natychmiastowe opuszczenie jaskini.

Coś go jednak wstrzymywało. Wejrzał we własny umysł i zobaczył twarz Vedenina, który śmiał się z powrotu Mikułowa w hańbie. Chłopak nie zamierzał do tego dopuścić, nawet gdyby miał czekać wieczność. Bogowie przemówią, ale w wybranym przez nich czasie, a nie wtedy, kiedy chce tego zwykły nowicjusz.

Blask dookoła niego stał się jakby ponury. *Przestrzegaj boskich postanowień — zdawał się mówić. Wycisz się i czekaj, aż bogowie wyrażą swą wolę.*

Cierpliwość nigdy nie należała do największych cnót Mikułowa. Z trudem ugiął nogi w kolanach i przyjął błagalną pozycję na podłodze. Gdy ból stał się zbyt nieznośny dla jego osłabionego organizmu, chłopak zaczął recytować w duchu słowa, by osiągnąć spokój duszy i oddzielić się od cierpienia. *Bólu, witaj w domu moim, długo tutaj nie zagościsz, lecz dopóki pozostaniesz, gościem będziesz honorowym.*

Mikułow pozostał w tej pozycji przez czas, który wydał mu się wiecznością. To była przegrana walka. Pulsujący ból przenikał w jego świadomość i zakorzeniał adepta w tej przyziemnej płaszczyźnie bytu, nie pozwalając zbliżyć się do bogów. Pot

zalewał chłopcu oczy, kapał na kolana oparte o kamień. Nieprzyjemne doznania rozpraszały Mikułowa, nie pozwalały wczuć się w usypiające tętno ścian. Pulsowanie zaczęło adeptowi dokuczać jak drwiny Gaszewa. Mikułowa przytłaczała jednostajność: światło bijącego od ścian, kamienie lśniące od wilgoci wyciekającej ze szczelin, zwisające porosty, które kołysały się...

Kołysały?

Mrugnął i spróbował przypomnieć sobie wszystko, co widział wcześniej. Dostrzegł niewielką i subtelną zmianę w przytłaczającej monotonii jaskini. Nerwowo próbował zidentyfikować źródło.

Czy zielone nitki kruchej, nieustępliwej rośliny kołysały się, gdy tutaj wszedł? Jeśli tak, to jak? W powietrzu nie czuć było żadnego przeciągu.

Gdy patrzył na porosty, Mikułow miał już pewność.

Nie, wcześniej były nieruchome.

Wkrótce ujrzał, co wprawilo pędy w ruch.

Spomiędzy głązów wydobywały się ciemne i rzadkie opary, które wisiały w powietrzu. Choć na tyle rozrzedzone, że można je było z łatwością rozdmuchać, robiły wrażenie namacalnych i niepokojących. Mikułow dostrzegł, jak przebiegają przez nie niewielkie wibracje, echa tętna świecących ścian.

Niemożliwe, lecz zdawało się, że dym robił się równie perłowy jak światło i równie ohydny jak zgnilizna.

Pomieszczenie wypełniły nowe kolory — gnijące odcienie żółci, zieleni i błękitu. Zlewały się i przenikały. Wyglądało to jak symptomy pogarszającej się choroby. Mikułow z trudem znosił ten widok jak sączącą się z rany ropę. Albowiem była to właśnie rana, długie, poszarpane rozcięcie w powietrzu, pustka w pulsującej, wymykającej się wyobraźni masie. To, co Mikułow widział, mamiło wzrok, oszukiwało

zmysły — nie przybierało żadnych znajomych czy choć trochę rozpoznawalnych kształtów. Wydawało się, jakby samo powietrze zostało brutalnie poranione przez niewidzialne ostrze.

Mikułow zastanowił się, co za broń jest w stanie uszkodzić tkankę rzeczywistości i instynktownie sięgnął po sztylet naręczny przytroczony do boku.

I zamarł z dłonią na rękojeści. Rana pulsowała w oczekiwaniu. Wyczerpanego Mikułowa zjawisko to przytłaczało i niepokoilo. Nowicjusz odczuwał je jako afront dla rzeczywistości — rana wyraźnie żyła, niczym mistyczna istota wysłana, by rozedrzyć umysł Mikułowa równie brutalnie, co powietrze.

Kiedy rozdarcie drgnęło, Mikułow się cofnął. Zafascynowany w równym stopniu co obrzydzony, nie zdawał sobie sprawy, że to podstęp, dlatego nie zareagował w porę. Kiedy w końcu to do niego dotarło, chwycił prawą ręką sztylet i wymierzył w rozdarcie. A wtedy unosząca się rana odpowiedziała na ruch chłopca — to zbliżała się, to oddalała w makabrycznym tańcu z jego bronią. Znowu za późno Mikułow zorientował się, że stawia go to w niekorzystnym położeniu. Rozdarcie zagroziło jedyne wyjście z jaskini.

Mikułow rozejrzał się i upewnił, że ze ścian nie sączy się więcej rozdarć. Nie mógł ignorować osłabionych nóg, pleców i ramion, tracił siły i zbliżał się do granic wytrzymałości. Mnisi z Niebiańskiego Klasztoru nie uznawali impasów. Mistrzowie szkolili swych adeptów w szukaniu rozwiązań życiowych problemów, nie pozwalali pograżać się w zwątpieniu. Mikułow musiał jak najszybciej przejść tę próbę, dopóki jeszcze miał dość sił.

Do diabła z rozdarciem, pomyślał. Rzucił się do wyjścia z jaskini.

Rozdarcie mu nie pozwoliło. Tym razem nie zadowolilo się zagrozeniem nowicjuszowi drogi. Zaatakowało wściekle Mikułowa, rzuciło się na niego. Wnętrze tej dziwnej rany było mokre i palące. Nowicjusz poczuł złość, że dał się zbić z tropu.

Mimo uniku w ostatniej chwili otrzymał cios w policzek. Lepka wilgoć pociekła mu po szyi. Upadł. Serce mu zamarło na myśl, że mógłby zostać zarażony. Chwycił za tunikę na ramieniu i wytarł cuchnącą ciecz, choć palenie na twarzy pozostało. Wszędzie wyczuwał obecność rozdarcia — żrący płyn był na skórze chłopaka, a nawet ściekał z rzadkich, tłustych włosów. Mikułow leżał na kamiennym podłożu. Z opóźnieniem sięgnął po sztylet, by odeprzeć następne ataki. Było mu głupio. Dlaczego wcześniej nie użył broni?

Teraz zamierzał naprawić ten błąd. Podniósł się z wysiłkiem i rzucił na plugawą ranę. Lecz ta wykonała kontrę tak szybko, że choć Mikułow był przygotowany, zdołał użyć broni jedynie w najprostszy sposób — ciął zarazę dziko, nie wyzwalając jednak energii. Nowicjusza ogarnął strach. Nie zdołał się skoncentrować i wykorzystać siły ducha, mocy której jeszcze nigdy nie potrzebował tak bardzo.

W przewidywaniu kolejnych ataków Mikułow zerwał się na równe nogi i wymierzył ostrze. Nawet jego słaby cios wystarczył. Widmowa rana zatrzęsa się i zdała wiotczeć. Rozdarcie w powietrzu zrobiło się jeszcze większe niż wcześniej, po czym zaczęło krwawić na kamienie. Mikułow patrzył na to ze zgrozą, bo rana rosła na jego oczach. Z krwią szumiącą w skroniach, wciąż czując przyływ adrenaliny po ostatnim ataku, chłopak wiedział, że oto nadeszła pora: musi uderzyć teraz! Pchnął ostrzem, ale tym razem w skupieniu. Przywołał potrzebną energię.

Ta próba była kluczowa, niezaprzeczalnie stanowiła zarówno test jego sprawności, jak i zaradności. W jakiś sposób spotkanie to miało dowieść mistrzom, że Mikułow zasługuje na dalsze nauki i, na tysiąc i jednego boga, zamierzał udowodnić, że tak jest.

Ale ku jego zawstydzeniu nie od razu mu się udało. Choć okiełznał moc i korzystał z niej instynktownie na placu ćwiczeń w Niebiańskim Klasztorze, to nie były już ćwiczenia.

Skoncentruj się — zbeształ się w duchu. Skup się na uwolnieniu mocy.

Sprawnie, acz z desperacją wymienił w pamięci wszystkie kroki po kolei.

Skup umysł na potrzebie. Skup się w determinacji; niech energia wypływa z każdego centymetra ciała.

Jednak Mikułow tak bardzo tego pragnął, że zapomniał o najważniejszym: procesy tego nie należy poganiać, trzeba poruszać się bez pośpiechu, jedynie z determinacją. Dlatego jego atak był słaby, niegroźny i pozbawiony wspomaganą mocą.

Aż do ostatniej chwili. Ostatecznie rozdarcie zebrało się, by uderzyć ponownie, i właśnie strach przed kontratakiem pozwolił nowicjuszowi wykorzystać energię. Pojawiła się dokładnie wtedy, gdy stwór zaczął kontrować. Adept w obawie przed zbyt silnym ciosem przeciwnika skierował moc w ostrze, z którego we wszystkich kierunkach rozszedł się krótki impuls. Wstrząśnięty tym Mikułow, stracił panowanie nad mocą. Odrzuciło go daleko w tył.

Przy upadku uderzył o posadzkę. Instynktownie próbował się podnieść, ale nie zdołał. Kręciło mu się szaleńczo w głowie. Co się stało? Czemu nie panuje nad ostrzem? Czyżby tylko wydawało mu się, że opanował je mistrzowsko? Czy może zagrożenie i brzemię, jakie niosła ta próba, było po prostu zbyt wielkie? I choć Mikułow nie widział, jak poważnie jest ranny, rzut oka na przeciwnika wystarczył, by stwierdzić, że to jednostronna walka.

Choć twór wcześniej budził przerażenie, teraz wydawał się nowicjuszowi jeszcze większy i bardziej ohydny.

Rozdarcie górowało nad Mikułowem. Było rozgrzane i płonęło, roztaczając intensywny blask. Brzegi tkanek nie wyglądały na równe jak rozcięte ostrzem, lecz postrzępione, jakby rozerwane gołymi rękami. Wnętrze wrzało. Widok zdawał się

nierealny. Mikułow miał problemy z oddychaniem, jakby każdy wdech napełniał jego płuca zarazą. Co gorsza, z poszarpanych trzewi rany sączył się żrący płyn. Mikułow poślizgnął się na kałuży i znowu poczuł palenie skóry.

Sięgnął umysłem, lecz nie do determinacji. Postanowił zaczerpnąć sił z gniewu, który wezbrał w nim niczym woda za tamą. Po wspinacze na szczyt w towarzystwie Gaszewa Mikułow wiedział, że nawet gniew był darem od bogów. Chłopak opanował go i przekierował.

Energia ostrza była czysta, ręka Mikułowa pewna, a oko celne. Wielki, rozgrzany do białości płomień, silniejszy od wszystkiego, co dotąd udało się osiągnąć nowicjuszowi, wystrzelił naprzód. Blask zeskoczył ze sztyletu i odrzucił obu przeciwników. Fala mocy odbiła się od ścian i uderzyła w Mikułowa oraz rozdarcie ze wszystkich stron. Chłopiec został porwany przez podmuch i rzucony na plecy. Otworzył oczy, wyczerpany i wstrząśnięty.

Dyszał ciężko, wdzięczny, że wciąż żyje. Bez wątpienia uderzenie mocy wystarczyło, rozdarcie na pewno zostało unicestwione. Chciał obrócić głowę, aby się przekonać, ale nie mógł. I wtedy ogarnęła chłopca gorycz i bezsilna rozpacz. Nad nim unosiło się rozdarcie. Twór był dziki, większy i silniejszy. Jak to w ogóle możliwe? Czy bogowie bawią się kosztem Mikułowa? Spojrzał raz jeszcze na ciekącą ranę. Skwierczące krople rozbryzgiwały się na kamieniach. Krwawienie tworzu też się wzmogło. Zupełnie tak, jakby nowicjusz podsycił ogień, zamiast go gasić.

Mikułowi nic już nie pozostało. Był tak wyczerpany, że gdy rozdarcie znalazło się nad nim, a ciekące krople ropy zaczęły go palić, nowicjusz ani drgnął. Nie miał sił. Ujrzał swój los z absolutną pewnością: czeka go powolna agonia w zarazie i cierpieniu.

— Głupcze — usłyszał. — Jesteś pyszny, lekkomyślny i słaby.

Mikułow wiedział, kto mówił. *Gaszewie, przyjdź zobaczyć mój koniec.* Ledwie mógł myśleć ze znużenia. *Co się stało, że nie chciał iść i zatrzymał przy wejściu?*

Mikułow uznał, że to tylko wspomnienie, jego własny strach odzywa się w tej trudnej chwili. Ale Gaszew nie przestawał.

— Zhańbisz siebie i swoich braci i siostry. Nie tylko tych, którzy zostali w Niebiańskim Klasztorze, ale wszystkich, którzy przechodzili tę próbę przed tobą. — Te słowa przeszły Mikułowa niczym sztylet, wiedział bowiem, że są prawdziwe. W swej dumie śmiał sądzić, że uda mu się tam, gdzie tak wielu przed nim zawiodło. A przecież niczym się od swoich poprzedników nie różnił.

— Skupiasz się na własnym, iluzorycznym cierpieniu, dlatego zostajesz głuchy na głos bogów. — Tak, to była prawda. Mikułow nadal nie mógł ich usłyszeć, przeszkadzał mu w tym przenikliwy ból. Nigdy tak naprawdę nie słyszał bogów, nawet gdy wybierał mantrę przed wyruszeniem na próbę. Gdyby więcej czasu poświęcił na szukanie oparcia u bogów, podjąłby inną, lepszą decyzję. Wybrałby mantrę ataku, lawinę tajemnej mocy, która doszczętnie unicestwiłaby rozdarcie.

— Jeśli nie będziesz słuchać bogów, tylko swoich potrzeb, wtedy nigdy mnie nie uratujesz.

Dopiero teraz Mikułow dostrzegł, jak był głupi. Leczenie nie mogłoby go uratować. Przedłużyłoby tylko agonię, postawiłoby chłopaka na nogi przed kolejnym atakiem, po którym twój urósłby jeszcze bardziej...

Mikułow zawahał się, gdy dotarły do niego słowa Gaszewa: *Nigdy mnie nie uratujesz.* Co starszy chłopak miał na myśli?

— Jeśli będziesz kierować się swoimi potrzebami, ty też zginiesz.

Moimi potrzebami. Młodszy nowicjusz westchnął. Zwój leczenia znajdował się w kieszeni jego poszarpanej tuniki. Kiedy Mikułow po niego sięgnął, dostrzegł, że

dokument, choć jeszcze nie został wykorzystany, jest przypalony i poplamiony, niemal zniszczony przez płomień i moc.

Podniósł znowu wzrok na wiszącą nad nim grozę, ohydne rozdarcie w powietrzu tej przeklętej komory, ranę, która rosła bez końca.

I właśnie wtedy Mikułow pojął.

Istotnie, *nie* będzie kierować się własnymi potrzebami.

Drżącymi, osmalonymi palcami przełamał pieczęć i przeczytał zwój.

— „Jaz waj pozdrawju”. — Słowa były niejasne i plątały mu się na języku. — „Preluzjem wáz dobrej”. Wykonał gest, którego nauczyli go mistrzowie, choć przez osłabienie ruchy i koncentracja Mikułowa były niedoskonałe. „Wimienju te tejsoc in enie bogiew obnowium wasz”. Jedno Mikułow wykonał perfekcyjnie: słowa i gesty zostały wymierzone dokładnie w wiszące nad nim rozdarcie.

Gdy leżał na kamieniach i powoli uciekały z niego siły, miało to sens. Sama natura tego właśnie wymagała. Czy można pozbyć się rany atakiem? Nie, to tylko ją powiększy. Pozbyć się rany można wyłącznie poprzez jej *uleczenie*.

Jego czyn był irracjonalny i niebezpieczny. O wiele za późno Mikułow zrozumiał, że rozdarcie nie zaatakowało go pierwsze ani razu. Jedynie odpowiadało na działania. Chłopak poczuł się głupio, że wyciągnął pochopne wnioski. Obawiał się, że twór ma złowieszcze zamiary. Jednak rozdarcie tylko nie pozwoliło nowicjuszowi opuścić jaskini — nie atakowało, lecz się broniło.

Oczywiście. To nie rana była agresywna, tylko ten, kto ją zadał.

Gdy Mikułow wypowiedział ostatnie słowa, zwój rozpadł się w pył. Dopiero wtedy nowicjusz podniósł wzrok. Postrzępione krawędzie rany zwały się, żrący wysięk ustąpił, a potężny twór zmałał znacznie, choć nadal biła od niego siła i wściekłość. I nadal zagradzał wyjście z jaskini. Chłopakowi serce zamarło, gdyż leczący efekt mantry

był już na wyczerpaniu. Rozpaczliwie przywoływał nieznane słowa, które ulatywały mu z pamięci.

Mantra nie wystarczyła, a Mikułow nie dysponował inną. Krzyknął w myślach do bogów: *Błagam, odpowiedzcie mi w potrzebie!*

Desperacja otworzyła w jego umyśle furtkę. Chłopak usłyszał pouczający głos: *Skup się mocno na potrzebie.*

I wtedy pojął, że to były jego własne słowa, które wypowiadał na placu do ćwiczeń. *Skoncentruj się na tej potrzebie.* A w potrzebie Mikułow był, nigdy nie wyjdzie bowiem z tej komory żywy, jeśli nie unicestwi nadprzyrodzonej rany. Nie, nie unicestwi, lecz uleczy. *Niech twoje pragnienie, żeby uwolnić energię, przepływnie z twojego umysłu przez każdą tkankę twego ciała i każdą cząstkę twojej duszy.*

Mikułow wygnał z głowy wszystkie zbłąkane myśli i skupił się wyłącznie na potrzebie uleczenia tej zarazy. Robił, co w jego mocy, choć wydawało się to całkowicie pozbawione sensu. Podniósł rękę do rozdarcia. Wypowiedział niewyraźnie słowa, które miały nieść pocieszenie i ukojenie. Kiedy dostrzegł, jak nisko nad znajduje się twór, wyciągnął ramiona i objął go mocno. Poczł przepływ energii. Minuty zdawały się ciągnąć przez wieczność. Mikułow zamknął oczy, opuścił ręce i poddał się wyczerpaniu.

Leżał bez czucia, zbyt słaby, by się poruszyć. Wreszcie sen złożył na jego skroni pocałunek lekki niczym babie lato.

Nie wiedział, jak długo leżał, ani jak odzyskał dość sił, by otworzyć oczy i unieść głowę. Nie był sam. Jednak nic nad nim nie wisało, ani mu nie zagrażało. Czekał długo, ale w końcu posłuchał tego, co podpowiadał mu instynkt. Rozdarcia nie było. Uleczona rana zniknęła.

Mikułow wsparł się na łokciu i dopiero wtedy zauważył drugą komorę, niewiele większą od celi mnicha w klasztorze. Najwyraźniej uleczenie rozdarcia otworzyło nowe przejście. W środku Mikułow znalazł prowiant — dzban wody, by ugasić pragnienie, i solone mięso, by się pożywić. Był wyczerpany i posiłek nie sprawił mu przyjemności. Jadł i pił powoli, beznamiętnie, kontemplując to, czego się nauczył. Zbadał tę drugą komorę zastanawiając się, jak została ukryta. Był to jakiś rodzaj mocy, zapewne pozostawionej tu przez mistrzów i przygotowanej tak, by działała bez przerwy. Mikułow poczuł ją dzięki nabytym, rosnącym umiejętnościom. Przebyta próba otworzyła w jego umyśle drzwi i to tak szeroko, że wyczuwał moc bogów, przynajmniej w niewielkim stopniu. Gdy żuł twarde mięso i popijał je wodą, rozejrzał się po pomieszczeniu. Odkrył, że otacza go więcej mocy, niż początkowo sądził. Znacznie więcej.

Mikułow przełknął i wzmógł czujność.

Instynktownie zrozumiał, że przyzwanie tworu tak mistycznego, jak rozdarcie wymagało potężnej siły. Pojawienie się rany na pewno współgrało mniej lub bardziej z przybyciem nowych probantów, a zniknięcie — zależnie od tego, czy została uleczona — musiało sygnalizować otwarcie wewnętrznej komory, w której zwycięzca mógł odpocząć.

Lub do której zaciągnięte zostałyby zwłoki przegranego.

Mikułow nie tylko wyczuwał moc, ale też rozpoznał jej cel: ukrycie. Mistrzowie schowali tutaj coś jeszcze. Serce zaczęło mu walić, gdy zastanowił się, co to może być, ale zaraz uspokoił myśli i emocje, przypomniał sobie bowiem, że mnisi z Niebiańskiego Klasztoru potrafią przekierować moc bogów. Mikułow musiał pamiętać o równowadze ducha.

Bez pośpiechu chłopak zaczął oddychać powoli i głęboko, a kiedy już całkowicie się opanował, sięgnął i dotknął mocy, po czym machnięciem ręki przegonił ją — *Precz.*

W ten oto sposób odsłonił kolejną komorę. Leżały tam zwłoki innych nowicjuszy.

Było ich wielu. Ciała wyglądały makabrycznie, ale też żałośnie, osamotnione i porzucone. Niewielu adeptów przechodziło próbę. Z niektórych pozostały już tylko zakurzone szkielety, po innych zwłoki w różnym stopniu rozkładu. Od wieków spoczywały tu zbuntowane dzieci, które marzyły, że zostaną mnichami. Mikułowa przyjrzał się, jedno z ciał przykuło jego uwagę. Było wyraźnie świeższe od innych. I większe.

Gaszew zawsze był wyższy od innych...

Patrząc w oczy swego dawnego gnębiciela, Mikułowa przypomniał sobie o głosie, który słyszał w głowie. Głosie Gaszewa. *Jeśli nie będziesz słuchać bogów, tylko swoich potrzeb, nigdy mnie nie uratujesz.* Wtedy Mikułowa nie rozumiał, co Gaszew miał na myśli. Dopiero tutaj pojął, co znaczy: *ratunek.*

Prawdę mówiąc, tym ostrzeżeniem Gaszew uratował mnie — uświadomił sobie.

Czyżby duchy wszystkich dzieci były uwięzione w tej komorze wraz z ciałami? Czy to właśnie miał na myśli Gaszew mówiąc o ratunku? Jeśli tak, to umarli byli już wolni. Gdy posiłek przywrócił mu siły witalne i umysłowe, Mikułowa wrócił na powierzchnię, by znaleźć odpowiednie miejsce. Nie zdziwiło go, że Gaszew na niego nie czekał, ale i tak poczuł się osamotniony.

Nigdy nie zdołałby zebrać dość drewna na stos pogrzebowy, nie przy tulu ciałach, ale miał nadzieję, że wystarczy wynieść zwłoki z jaskini na słońce, aby umarli udali się na wieczny spoczynek.

Zabranie wszystkich ciał z komory zajęło Mikułowi dużo czasu. Wiele razy musiał przejść tam i z powrotem, a kiedy skończył, dawno zapadła ciemność. Na samym

końcu wyniósł ciało Gaszewa i położył je na samej górze. Odpoczął przez noc, nie musiał się spieszyć. O świcie, gdy zmarli po raz ostatni poczuli pocałunek słońca, Mikułow przykrył ich kamieniami, tworząc ogromny monument. Kiedy skończył, nie wymówił nad grobem żadnych słów. Nie potrafił się na żadne zdobyć. Odwrócił się w milczeniu i chwiejnym krokiem ruszył do domu, krótkim gestem żegnając byłych nowicjuszy, swoich zaginionych braci i siostry.

Minęło półtora dnia po jego zwycięstwie, gdy Mikułow triumfalnie i niespiesznie wrócił do Niebiańskiego Klasztoru. Słońce już dawno osiągnęło zenit i opadało ku zachodowi, ale oświetlało portyk bramy, którą chłopak wszedł. Za nią spotkał Vedenina, skulonego i zmarszczonego, przestępującego nerwowo z nogi na nogę. Mikułow miał wrażenie, że chociaż mistrz czuwał od wielu godzin, czerpał siły z grymasu niezadowolenia na swojej twarzy.

— Minęło ponad półtora dnia, od zakończenia próby — rzucił mnich, a słowa te potwierdziły wiele z tego, czego nauczył się Mikułow. Zniknięcie rozdarcia rzeczywiście zasygnalizowało koniec próby, co nie tylko odsłoniło ukryte przejście, ale również powiadomiło mistrzów. Czekali przez ten cały czas.

— Reszta moich braci i siostr zniecierpliwiła się i tylko ja zostałem — dodał Vedenin. *Oczywiście, pomyślał Mikułow. Jak mógłby przepuścić okazję, by skrytykować to, jak mi poszło z rozdarciem? Musi go boleć niezmiernie, że wracam zwycięski.*

Chłopak powoli podszedł do starca.

— Miałem wiele pracy, mój bracie — odparł. Głos miał zachrypnięty, gdyż nie korzystał z niego przez dziewięć dni, jednak gdy po raz pierwszy zwrócił się do swego mistrza jak do równego sobie, odczuł ogromną satysfakcję. Starzec nie był już *mistrzem* Vedeninem, lecz bratem, Mikułow zasłużył sobie bowiem na przynależność do mnichów

Niebiańskiego Klasztoru. Wiedział jednak, że jego edukacja dopiero się zaczynała, że mistrzowie często poświęcają dziesięciolecia, by przygotować nowych mnichów, dlatego uważał, aby w jego głosie nie pobrzmiwała arogancja ani pycha. Przemówił do Vedenina z należytym szacunkiem.

Ale też z odrobiną słusznego gniewu, by powstrzymać starszego mnicha przed repliką.

— W ukrytej komorze znalazłem o wiele więcej niż tylko żywność i wodę — odezwał się znowu Mikułow. Dostrzegł, że mistrz otworzył szerzej oczy.

— I to opóźniło cię o noc i dzień? — zapytał starzec z nieco mniejszym oburzeniem.

Mikułow popatrzył mnichowi głęboko w oczy i ani przez chwilę się nie zawahał. Przytaknął.

— Istotnie, w górach jest bowiem mało drewna, a musiałem pochować wielu z mych braci i sióstr.

Wspomnienie było bardzo świeże i zapewne odbiło się to na twarzy Mikułowa, bo Vedenin wyglądał na zaskoczonego.

Mistrzowie wierzyli lub nie w to, że Mikułowi się uda, ale najwyraźniej nie planowali, że nowicjusz odkryje umarłych w jaskini.

Chłopak minął starca. Nie zrobił tego ani w pośpiechu, ani obcesowo, jednak Vedenin ocknął się z zadumy.

— Jesteś spóźniony i a twoje nauki czekają — warknął. — Natychmiast udasz się do lykejonu.

Mikułow pokręcił głową, nagle poczuł znój ostatnich dni.

— Jeszcze nie teraz, Vedeninie — odpowiedział. — Najpierw się obmyję i zjem.

Mnich zmrużył oczy gniewnie i z zauważalnym wysiłkiem utrzymał pozory autorytetu.

— Będziesz się do mnie zwracać... — zawahał się — ...bracie Vedeninie.

Mikułow pozwolił sobie na uśmiech.

Och, jakże musi go drażnić, że już nie może kazać, abym nazywał go mistrzem, pomyślał zadowolony. Jakże musi nienawidzić tego, że staliśmy się braćmi.

Ale wtedy uderzyła go nowa myśl i zadowolenie zniknęło.

Jestem najmłodszym adeptem, który kiedykolwiek został mnichem.

Przepełniło go poczucie wdzięczności.

— Przystąpię do nauki, bracie — zapewnił ze szczerą pokorą i szacunkiem. — Lecz bije ode mnie zapach śmierci. Nie śmiem obrażać bogów, zwracając się do nich tak splugawiony. Najpierw ablucje, potem posiłek, a następnie nauka.

Nie zamierzał dać się sprowokować. Dni pogardy dobiegły końca. I choć starzec prychnął, Mikułow odszedł, rzucając przez ramię:

— Dobrej nocy, bracie.

Po powrocie do Niebiańskiego Klasztoru, Mikułow długo rozmyślał nad samotnością, która towarzyszyła mu przez całe życie. Zdał sobie sprawę, że dzięki zwycięstwu w górach nareszcie zyskał rodzinę, której szukał przez wiele lat. Nie doszło do tego jednak tak, jak to planował. Choć teraz miał nazywać innych mnichów „braćmi” i „siostrami”, jednak prawdziwa rodzina Mikułowa znajdowała się gdzie indziej. Jego najbliższych nie było w klasztorze — spoczywali na szczycie góry.